

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

940735



WYDAW. MUZYCZ. I KSIĘGARNIA

B. J. ZALEWSKI

1505 Tell Place

CHICAGO, ILL.

MONOLOG

Cechą charakterystyczną monologu, jest ton żartobliwy, wesoły, niezadko zawadający, humor jednak ten nie powinien przekraczać ram przyzwoitości, ani trącić wyuzdaną hulaszcznością, lub w żartach graniczyć z bezwstydem, niezdrowym szyderstwem, czy cynizmem.

Zadaniem humorystycznego monologu jest wzbudzić szczerzy śmiech w słuchaczach, ubawić ich w ten sposób, znużonym umysłem sprawić rozrywkę.

Moralizatorstwo natrętne i niezgrabne nigdy w takim monologu prawa obywatelstwa nie miało i nie ma. Sensu atoli moralnego, pouczającego delikatnie, a wesoło o pewnych przepisach towarzyskich, prawach i obowiązkach ludzkich a nawet i zasadach życiowych z monologu humorystycznego wykluczać nie można.

Przy wygłaszaniu monologu obowiązują te same zasady co przy deklamacji, a więc: czysta i wyrazista wymowa, dostosowanie tonu i akcentu do treści utworu, barwna, nie jednostajna recytacja. Dochodzi tu jeszcze moment aktorski i sceniczny, a więc pierwiastek dramatyczny. Osoba, wygłaszająca monolog, ma większą niż deklamator swobodę w posługiwaniu się gestami i mimiką, naśladowaniu ruchów zewnętrznych, wyrazu twarzy i jego zmian u innych. Może i do siebie mówić i do publiczności i zachowywać się tak, jakby z drugimi, nieobecniymi osobnikami rozmawiał i dawał im odpowiedzi. Jednym słowem — odgrywa swą rolę. Ma prawo zatem, o ile treść monologu pozwala na to albo tego żąda, chodzić, biegać po scenie, może wdziać na siebie kostjum, jakiego domaga się odnośna rola, a więc występować przed widzami niejako w "kłamanej," bo nie w swojej postaci.

W życiu naszych Stowarzyszeń Młodzieży używa się monologu jako środka urozmaiającego na zebraniach i wieczornicach.

Praktyczne wskazówki, którychby trzeba zwłaszcza młodzieży udzielić, dadzą się streścić w następujących punktach. Należy:

1. Wyuczyć się doskonale na pamięć swojego monologu. Najlepiej uczyć się głośno, wymawiając wyraźnie każdą zgłoskę, następnie stosownie do treści i wiersza głos zniżać, mówić głośniejszy czy ciszej, prędzej czy wolniej; — 2. Wmyśleć się i wczuć w treść i nastrój wygłaszanego utworu; — 3. Postać, którą się przedstawia, oddać wiernie z jej charakterem; — 4. ze słuchaczami wzgl. widzami, — bo słuchacze monologu są i widzami równocześnie — utrzymywać kontakt, wychodząc z zasady, że dla nich w pierwszym rzędzie wygłasza się monolog; — 5. Nie przesadzać w karykaturowaniu postaci; — 6. Nie dodawać swoich, nie zawsze humorystycznych i dobrym nacechowanych tonów uwag, słów, wykrzykników, zdań, ruchów i t. p. scenicznych przyczynków i ozdób.

NA JEDNEJ GŁOWIE

(*Wchodzi zadyszana*).

Wszystko na jednej głowie, wszystko... (*poprawia czepek*) cztery dziewczki, spiżarnia, dwanaście krów, kury, kaczkki, gęsi, indyki... i, z przeproszeniem państwa, cały dylew! Wszystko na tej jednej biednej głowie, ot tu... (*wskazuje*) i żeby za to chociaż, żeby choć coś, cokolwiek... choć czasem dobre słowo; ale gdzie zaś! (*wzrusza ramionami*) jeszcze im źle. Stłucze się co — Kokosińska winna; krowy dają mało mleka — a jakże! Kokosińska; wieprz trzy tygodnie temu się zatchnął — dalejże na Kokosińską; kury nie chcą się nieść — także Kokosińska przyczyną... jakbym to ja kury zbuntowała. I już każdy na tę Kokosińską, jak na burą sukę; a ja cierpię i milczę, bo nie jestem, jak inne kobiety, prędką do gadania — i albo co powiem, jak mi bardzo już dokuczają, albo i nic nie powiem, choć mnie obmawiają, że jestem popędliwa, ja! Bo żem raz garnek dziewczce na plecach rozbiła, to więcej dla postrachu, niż dla czego, a bardziej naumyślnie, żeby mnie pociągnęli do sądu, żebym mogła raz przeciw w urzędzie powiedzieć, jakie to teraz czasy, jak się ono tałałajstwo rozwydrzyło, że ani uszanowania dla kogo starszego, ani posłuchu, ani roboty, ani nic! — A jak przyjdzie niedziela, to na łańcuchu nie utrzymasz, tylko zaraz na tańce, na hulanki, do karczmy, a człowiek gdy co powie, to zaraz na sąd... zaraz sąd! Ja jej dziesięć razy mówiłam:

— Ej, Magda, ty się szanuj!... Ja ci mówię: po wodę idź, zielska, za pozwoleniem, dla wieprza nasiekaj, ku-

rom daj jeść; powiadam ci godnie i po dobroci: ty szelmo jedna, leniu, latawico, powiadam, szanuj się!

Innaby jeszcze w rękę pocałowała za takie macie-rzyńskie przemówienie, a ta zatracona do mnie z gębą! Powiada:

— Za co mnie Kokosińska dyfamuje? co Kokosińska nademną przewodzi!

A ja mówię jeszcze po dobroci i delikatnie:

— Stul gębę, ty tłomoku!

A ona jak wrzaśnie:

— Niech Kokosińska sama stuli!... Co Kokosińska? Kokosińska taka sama sługa, jak ja, tylko że ja sobie, Bogu dziękować, młoda dziewczucha i ludzi nie straszę, a Kokosińska baba utrapiona, sekutnica!

Słyszał to kto? Nie sądz mnie, Chryste, ale aniołby nie wytrzymał. Stała dziezka gliniana z kwaśnem mlekiem, jak nie cisnę; rozbił jej się na plecach w kawałki. Masz, gadzino, coś chciała, znaj Kokosińską! Inna możeby uderzyła w pokorę, przeprosiła — ta nie: "Do sądu podam, do sądu podam!" wrzeszczy, aż pieje. Ja biorę znów garnek z ukropem, bo i najbiedniejszy robaczek broni się, jak go chcą zdeptać, i powiadam: "Idź, idź, psia duszo, idź, cyganko, idź, idź."

Poszła... No nic... Wyszło ze dwa tygodnie, aż przychodzi raz wieczorem soltys i powiada: "Na jutro pani Kokosińska do sądu."

Do sądu! Ha! cóż robić? Wzięłam na siebie ze siedem spódnic, nowy czepek, chustkę, ogarnęłam się — niech też i sąd wie, że ja co innego niż ona.

Przychodzę — sędzia już siedział, ławniki koło niego, pan sekretarz, wszystkie dziewczki od nas za świadki, kuchcik, stróż, ogrodniczek, jako że natenczas w kuchni był.

Weszłam, pokłoniłam się, czekam. Dopieroż sędzia powiada:

— Pani Kokosińska garnek rozbiłaś na tej dziewczynie?

— Prześwietny sądzie — powiadam, — bez urazy, nie garnek to był, ale dziezka — i nie sądowa, ale dworska. Jeśli sobie dziedziczka szkodzi, może mi z zasług potracić. Nie wybrałam, jeszcze mam; rachunkowa kobieta jestem, zasług nie przepijam, ani nie tracę.

Sędzia powiada:

— Tak, według garnka masz pani rację, garnek dworski, ale plecy dziewczynine są i właśnie o to sprawa. Magda jest pokrzywdzona. Pogódźcie się.

Jak to słowo rzekł, właśnie gdyby mnie nożem w serce dźgnął.

“Pogódźcie się!” Ja z nią! Może się jeszcze mamy całować, napoczęstunek zaprowadzić?... Czy ja jej przyjaciółka? czy z nią, z przeproszeniem, gęsi pasłam?

— Ach — powiadam, — przeświatny sądzie, nie mam się co z nią godzić, jako żem się nie kłociła.

A sędzia mówi:

— Jak pani chce, to będzie sprawa; radzę pani Kokosińskiej zgodnie skończyć, bo może być źle.

— Niby jakto? — pytam — w czym źle?

Powiała:

— Kara będzie.

A ja dopiero:

— To — powiadam — tak? To jeżeli dziewczka gałgan, słuchu nie zna, po muzykach lata, zielska nie sieka, wody nie nosi, to nic! A gdy gospodyni, stateczna kobieta, matka dzieciom, wdowa godna, przemówi i na drogę dobrą prowadzi — to kara? Rzadko kiedy mówię, bo nie jestem gadatliwa, ale jak mi kto sadła za skórę naleje, to nie zmilczę, żeby tam nie wiem co!

Wszystko powiedziałam, wszystko, co tylko miałam na sercu i na wątrobie. Sędzia i ławnicy słuchali i widać ich wzruszyło, bo zatykali sobie uszy; sędzia dzwonił, jakby na procesji — a ja nic; rzną swoje, nie pardonuję! — Co będzie to będzie, choćby się miał świat zapaść, niech raz prawda wyjdzie na wierzch, jak oliwa. Sędzia dzwoni, ja swoje, — podnosi się, ja swoje, i powiadam:

— Prawdę mówię, bo aż się przeświatny sąd podnosić Mówię, gadam, ale, bez urazy przeświatnego sądu i honoru, to nie mnie się godzi karać za głupi garnek, ale dziewczkę wziąć, głowę jej ogolić, smołą oblać i pierzami obsypać, a wyświęcić ze wsi i z gminy, żeby miała nauczkę, jak należy starszych ludzi szanować i posłuch znać.

W gardle mi zaschło, mało się nie zatchnęłam, gorącość na mnie uderzyła, płacz mnie porwał, a żem była z tego zamartwienia zaziębiona, więc i kichanie mnie napadło i kaszel, aż stróż sądowy ze świadkami wypro-

wadzili mnie z sądu na dziedziniec. Przysiadłam na kamieniu, lzy otarłam i posiedziałam tam ze trzy pacerze, aż nadchodzi dziedzic; zły jak wilk, tylko wąsami rusza, powiada:

— Zawsze mi Kokosińska bigosu narobi, tfu! — powiada — niech Kokosińska idzie na folwark i pilnuje swojej roboty spokojnie, bez awantur; dziś udało mi się Magdę ułagodzić, że cofnęła skargę, ale — powiada — na drugi raz wdawać się w takie rzeczy nie będę i pójdzie Kokosińska do kozy, jak niepyszna.

Splunął i poszedł.

Pan Bóg widzi moją krzywdę sierocą, mój żal. Zapłakałam, jak małe dziecko (*placze*). Dziedzic Magdę ułagodził, ułagodził ją! Znam ja te ułagodności, znam! Wypatrzę i, szelma ze mnie, jeżeli dziedzicze dokumentnie wszystkiego nie opowiem. On ją ułagodził! Za moje dobre, za moje serce, za moją pracę, za gęsi, za indyki, za takie spaśne wieprzki, za takie prosiąteczka śliczne, za takie sery! On ją ułagodzi, a na mojej jednej głowie wszystko: samych krów dwanaście, cztery dziewczki, tyle drobiu, cały, z przeproszeniem, chlew...

(*Głos z za sceny: "Kokosińska! Kokosińska!"*)

— Idę, idę! Wiem; zmarniałoby wszystko bez mnie, skapiało, cały folwarkby przepadł... A dziedzic ją ułagodzi za moją krzywdę... on ją jeszcze ułagodzi!!

(*Odchodzi, wybuchając płaczem*).

MACIEK WIECHEĆ U DOKTORA

A juści, wielmożny konsyljarzu, dyć tak... Jestem Maciej, ze wsi Kobiałka-Pusta, po przezwisku Wiecheć... Juści tak, gospodarz jestem obsiedziały, niby na swoim gruncie, ale tego gruntu, pozal się Boże, tyle co pies napłakał: trzy morgi i prętów pięćdziesiąt i znow półtorej morgi piachu pod borem — jeno co mnie kobyła ratuje, jako że się niby do furmanków najmam... A juści, wielmożny konsyljarzu, żeniaty jestem sprawiedliwie; dziecisków, Bogu dziękować, je pięcioro, a czworo pomarło, zara z maleńkości. Chorobów nijakich, ani słabościów nie znałem, zdrów zawdy byłem jak koń, jeno jakeśmy łońskiego roku kamienie do szosy zwozili, zdźwigałem się krzynkę i poczęło mnie w krzyżu strzykać, a zaraz potem znowu, w zimie, to mnie kolki tu oto spierały (*pokazuje na piersi*), i ciągoty miałem, i dygotki i znow mnie w gorącość wrzuciło, ale potem krzynkę ustąpiło i tera jeno mnie znow ziębi i łamanie po gnatach mam... Do jadła nie bardzo ja... choćby mi pszenne kluski ze słoniną dawali, choćby nie wiem co — ani w gębę! Do picia zato bardzom chciwy. Jak mi się w polu pić zachce, to do *byle* jakiego rowu przypadnę i piję, piję, nie przymierzając, jak koń. Powiada wielmożny konsyljarz, że musiałem się krzynkę przeziębic?... Zaziębic ja się nie zaziębilem, boć zawdy siaki taki kozuszyna je i przy robocie człowiekowi ciepło, jeno raz wleciałem het, że łbem pod lód, kiele młyńca i nim mnie młynarczyki wyciągnęły, nim dowlókłem się do chałupy, nim ściągnąłem z siebie mokre odzienie, to niby mi było krzynkę

zimno i zębami klekotałem jak bocian. A! wielmożny konsyljarz pyta, czy miałem jaką kurację? Niby czy mnie kto lekował? A juści, lekowali, lekowali dobre ludzie; jedno nadało, drugie nie nadało, a w kuracji byłem ciągiem. Jakie doktory? Po prawdzie, konsyljarzów nie szukałem, bo gdzie to ta u nas na wsi! Zanim się człowiek doczeka jarmarku, to i choróbsko całkiem zmoże, a naumyślnie według lekowania jechać, to i mitręga i koszt duży. I dziśbym ja, po prawdzie powiedziawszy, do wielmożnego konsyljarza nie przyszedł, jeno raz, że jarmark, a po drugie, że mi nasz rzadca ze dwora naraił, żeby koniecznie być... to i przyszedłem, i oto dopraszam się łaski wielmożnego konsyljarza, żeby wielmożny konsyljarz dał co takiego, żeby albo na jedną, albo na drugą stronę; bo już mi się zmierzilo to cherlanie, a najgorzej ono zimno i ból po gnatach... Ma być śmierć, niech będzie śmierć, jeśli taka wola Boga miłosiernego, a ma być lepiej, niechże będzie lepiej, bo podług gospodarskiej potrzeby, jak chłop zdrowia dobrego nie ma, to nawet tyle nie znaczy co baba...

Skoro wielmożny konsyljarz chce wiedzieć prawdę, jakie miałem lekowanie, to powiem zara. Jakem się przy onych kamieniach podźwigał, to jedna kobieta znająca powiedziała, że to musi nie co, jeno urok, albo zadanie i że trza odczynić. Odczyniła i okadziło mnie zielem siedmiorakiem, ale nie bardzo to nadało. Później kował nasz przyszedł i powiedział, że to musi nie co, jeno zła krew, a jak nie zła krew, to suchy ból, a jak nie suchy ból, to pewnikiem psotny wiat — niby zawianie. Tak oto, wielmożny konsyljarzu, wysmaro-

wał mnie psiem sadłem i kazał wypić trzy kieliszki wódki z pieprzem, trzy bez pieprzu i znowu trzy z tłustością i ukłaść się przy piecu i przykryć kożuchem... Ano, juści nie mogę powiedzieć — krzynkę nadało. W gorącość mnie wrzuciło i przeleżałem tak dwa dni, a trzeciego dnia jużem trochę łaził i chociaż kole była obrządek uczyniłem, sieczki trochę narząłem, ale za wady do swojej siły przyjsć nie mogłem... Dopieroż moja kobieta poczęła z babami rajcować; raiły, raiły i przed chałupą i w karczmie i tak i siak, aż naraiły, żeby z trzeciej wsi kobietę jedną sprowadzić, co próbantka jest i znająca na wszystkie cztery boki, a powiadają, że takie ma ślepie, co niemi widzi w człowieku, jak we śklance... Sprowadziły ona Walentowę, tak się niby ta baba zowie, i znów poczęły rajcować, aż się wpakowały, niby do mnie, do izby, osiem babów i dziewiąta dziewczka Jagna, ale ta bardziej z ciekawości niż do pomocy... Wpakowały się i powiadają niby do mnie: "Ot, nie bojta się, Macieju, wszystko bajki: wątroba się w was zruszyła i poszła tam, gdzie nie potrzeba; natrząśniemy was krzynkę, postawimy garnek na żywocie i na bez tydzień będzieta tańcowali se w wesołości serca i we zdrowiu dobrem... Ha, no, rzekłem; dobrze.

Wielmożny konsyljarz śmieje się... Ja wiem, że doktory powiadają, jako niema w chłopie takiej rzeczy, coby się zruszyła... i że jeno głupi naród se zmyśla... Ha, no, siak czy tak, ludzie też się znają coś i wiedzą... Zaprowadziły mnie do stodoły, omotały nogi postronkiem, przerzuciły postronek przez belkę i dalej dugować w górę... Obwiesiły mnie za nogi; Walentowa natrząchnęła mnie ze trzy razy i powiada: "Już!..."

Aż mi we łbie zaszumiało i w uszach poczęło dzwonić, jak na sumę. Zdjęły mnie... Ledwie dołączył do izby, zara wzięły garnek, ukrajały kawałeczek chleba, nawtykały w niego wióreczków, zapaliły, postawiły na żywocie, niby u mnie, i nakryły garnkiem. Juści ciągnęło, bo ciągnęło; myślałem, że chyba mnie całego i ze łbem w ony garnek wciągnie — i niby nadało trochę, jeno bez oparzenia żywota to nie było... jako że się on chleb z wiórkami przewrócił. Ale to bajki — przykładałem kapuściane liście... I jeszcze mnie potem wysmarowały het całego, i ekonom też od siebie kropki kobieckich przysłał, to zara zażyłem i prócz tego wódki z gorącą tłustością, z goździkami i z miodem, jako że niby tłustość goi, goździki grzeją, a miód przenika na wskróś... I baby też piły, jako że zawdy w kupie weselej i choremu rozrywka i jako że się zdzwigają, boć zawdy chłopca takiego jak ja na belkę, to, podług kobiecej siły, choć ich było ośm babów i, jako się rzekło, dziewczka dziewiąta, je ciężko... Po onem natrząśnięciu, wielmożny konsyljarzu, leżałem znów musi bez cały tydzień, ale później podniosłem się niby krzyneką byłem lepszy, śnać ona wątroba weszła na swoje miejsce... Tymczasem pojechałem oto ze zbożem do młyna i wpadłem w przerehel... Już to od tego czasu nie jestem jak trzeń; coraz to ciagoty, to dygotki, to łamanie, to po kościach bolenie, to kolki...

Et, co też znów pan konsyljarz chce?! Gdzieżbym ja takiemu panu znacznemu jęzor miał pokazywać! a dyć to nie pasuje... Ale... proszę wielmożnego pana... No, już skoro tak koniecznie... ale co nie pasuje, to nie pasuje...

Po doktorsku lekowany też byłem... Gdzie? Ano, juści na naszym jarmarku... Akuratnie wtedy gadzi-nów dwoje sprzedałem i cztery worki kartofli i naraili mi iść do Berka, niby do felczera. Zerznął mnie bańkami okrutnie i jakieści lekarstwa we flaszczech dał... niby do picia... Piłem, ale nie wiele i to nadało... Powiedział Berek później, coś we dwa tygodnie, że jedna choroba ze mnie wylazła, a druga zaś weszła... i że ta druga, to niby je frybra łamana i trzęsiona. Lichoć go ta wie, może i frybra... Chciał mi proszki dać, ale nie wziąłem, bo się bestja okrutnie drożył, sam już nie wiedział, co chceć za nie: i pieniędzy, i kartofli i kurę... Powiedziałem mu, żeby sobie sam zjadł swoje proszki, kieć takie kosztowne... Już taki jak dostanie gospodarza do ręki, toby z niego żyły wszystkie chciał wypruć.

A na tę frybrę, wielmożny konsyljarzu, też lekowany byłem... a jakże... Ekonomowa, bardzo dobra kobieta ona jest, dała mi taką karteczkę, żebym niby nosił kiele siebie to od tego frybrę zgubię do dwóch tygodni — i byłym może ozdrowiał, ale zgubiłem on karteluszek, a ekonomowa drugiego nie miała bo i sama dostała też kiedyś tam od kogoś znajomego... Różne mi różności raili, i zioła suszone trojaki we wódce, i gotowane pod szpunterem, do picia przed wschodem słońca i po zachodzie słońca, i zamawiali i okadzali, i jeden żyd doradzał, żeby niby choć dwa razy w tydzień raka złapać, ugotować, na miązgę w stepie potłuc i jeść — próbowałem. A drugi zasie żyd raili, żeby nie raka, jeno oczy rakowe, a prawdziwie nie oczy, tylko te białe kamyczki, co w

raku są, potłuc na proszek i w wódce pić — i to próbowałam... To znowu kazali miętę z piołunem pić — piło się; to zaś owczarz ze dwora, też znający człowiek, psi proszek mi dał... I jedno nadało, drugie nie nadało, a zawdy jakoś te ciągotki mam i dygotki mam, i w gorącość mnie wrzuca i po kościach precz łązi...

.....
Wielmożny konsyljarz powiada, żeby głupim nie być i babów nie słuchać. A juści, żebym ja zdrowie jeno miał, tobym nie słuchał, ale tak, to się człowiek ratuje, jak mogąc...

To niby z tą karteczką do apteki i będzie sześć proszków... i kwaśnego nie jeść i tego nie i tego nie... Ano, dobrze, abym jeno spamiętał... I za dwa tygodnie znowuj tu przyjsć. Hm... jak trzeba, to się przyjdzie... Niech będzie pochwalony...

Ale, jeszcze się chciałem dokumentnie o jedno wielmożnego konsyljarza zapytać... A juści, niby czy te proszki mają być na lekką śmierć Olaboga! a dyc co miałem zwarjować!? Nie zwarjowałem, jeno się pytam, bo doktorskie proszki zawdy niby od tego są... Ja się ta nie boję... Jak skoro trzeba umrzeć, to trzeba, skoro taka wola Boga miłosiernego i skoro tak ma być... Niech się wielmożny konsyljarz nie obraża: chłop od tego jest, żeby orał, a konsyljarze, żeby śmiertelne proszki dawali. A skorobym wyzdrowiał, to też o wielmożnym panu nie zapomnę; znajdzie się u mnie i garnuszek miodu i osełka masła i kurczęcina jaka... to się, aby we zdrowiu dobrem, wielmożnemu konsyljarzowi przyniesie...

Przed Sądem. MONOLOG

Anton Koza: Przepraszam wielmożny cesarski Sond i Prześwietnom kancelaryo, że bałamucze, ale musze, bo jo nie z błota żeby mi lada kujon nabroił na łopate.

To było tak:

Coś od zesługodnia, strasnie mnie cosik we wnętrzu okliło. a świat mi się w oczach obyrtło. posedemse tyz do Jabroma na jednego. Jagen se do niego posed, tak, że ta i jestem, wyjmuje z kiecki ćwurke, kładę jom Jabronowi na lade i godom, jak tu zwykle bywo, dejże Zydzie wódki. W tym przystempuje do mnie ten napastnik Bartek, co go to Malowanym nazywajom, a co to na wiare z Jontkowom od Potoka siedzi i tyrpie mnie ciągiem i tyrpie, a namowio na funde. Jo mu muwie delikatnie: idźże grondolu do djabła a nie napastuj porzondnych osób, a on nic, tylko się do mnie napiro i furt mnie tyrpie. Jo sie ta nie nazywom, bo jo jest z flegmatego tempe ramentu. bo i przy wojsku służył i wiem co znacy super ordunek i peragropy mi nie nowe, ale sie mu oganom jak mogę. Biere wudke za ucho i nie do gemby, a ten selma Bartek tyrk mnie w renke. Dar boski wyłoł sie na ziemie i na mój kabot przenicowany u regimenckiego krawca.

Mnie sie już miarki przebrało i straciłem symenteryjom, cyli zimnom krew, dopiro jo na niego, ty taki, ty owaki i godom mu to i to, zglendem

różnych okolicności co wiem na tego Szczygona, a co na terminie wylusce, a on nic, tylko ciengiem do mnie susy zemby, a dogryzo mi i przesładuje mnie bekiem, bo mnie nie przymieżajonc Koza na przewiśko, chociem się urodził tak jak i inny cłowiek i po ludzku i w mentrykach jestem nutowany. Jo sie rozjankorzuł na takom kuni racjom i nie wiele moślonc godom mu, że jest sin fecca, w tym on do mnie jak nie skocy i chlust mnie łapom w pysk. Złapał mi za gardło, potargoł mi koszułe i puty mnie dusił, że mi ślipie na wrzch wylazły, a moja to mnie nawet poznać w domu nie mogła, choć było jesce dosyć widno, bo miesioncek przyświecoł, tak byłem posokom zlany.

Niechże wielmożny cysarski sond som uwarzy, że to nie śpas, ale belajdunek ocywisty. dlatego prose pozwy wydać, a potem tego gałgana zamknąć do kozy na pore tygodni, żeby on wiedział, co to znacy z cysarkim dzieckiem zadzirać.

Zacinalski.

MONOLOG.

(Scena przedstawia ogród publiczny. Młody mężczyzna, elegancko ubrany).

Ja jakto dziesiąta go..... odzina a Dzdzisia nie ma? Zwa..... arjował czy co za dja..... jabei, a przecie mnie wyraźnie na dziesiątą za..... amówił, bo mi mał przy..... ynieść tomik wierszy Go.... go..... go..... mulickiego, z którego miałem sobie obra..... rać jakiś wiersz do dekla..... lamowania na sobotnim wieczorku. O..... o..... państwo ma-

cie wie edzieć, że ja tylko w mowie się zająka ka kuję, ale deklamuję gładko, jak po ma aśle. slo łowo daje. Biorę nawet u udział w różnych wieczorkach i to z olbrz brz brz z olbrzymiem powodzeniem. Sama panna Guć Guć Gucia mi to powiedziała. Panna Gucia Bzd Bzd Bzd a bodaj cię, nigdy nie mogę jej nazwiska wyro..... ro rąbać. Bzd Bzd Bzdukiewiczówna, więc pa anna Gucia Bzd Bzd Bzdukiewiczówna — powiem państwu w sekrecie — ko ocha się we mnie ukra radkiem i pasyami lubi, gdy dekla lamuję. A jaj jaj ja jej tak chętnie dekla lamuję jak nikomu. Na sobotnim wieczorku ona będzie, bo już sly łyszała, że jestem w pro ragramie. Anibyście mnie poznali, gdybym wam zadek zadek zadeklamował z taką potęgą wy..... ymowy, z taką śliną te siłą a jak gładziu dziu dziu dziuśko. To satysfaka kacya słuchać słowo daje. Zresztą niech powie panna Gucia Bzd Bzd a bodajże cię Zzd e, co mi tam, wystarczy powiedzieć panna Gu ku ku Gucia. Co mnie ten język za fi figle wyprawia tego nikt pojo jojoj pojać nie może.

Na wieczorku domo owym u państwa Br Brrr a niechże cię Brrr Brr yńskich miałem che checę okro ropną. Wacek przedstawił mi jakąś gru rubą pannicę, pono ze wsi, a ja zbli lizam się do niej, przysiadam i rozpoczynam rozmowę, uśmiechając się przytem co chwila. Ja gawe ędzę, gawe ędzę, ga-

we..... ędzę, a ona nic, nawet miny nie zmie.....
jenia, a po chwili zry..... ry..... rywa się na ru.....
równe nogi i p..... p..... pędzi do starego, który
stał w drugim pokoju. Gruby jegomość jak rz.....
rz..... rzeźnik przylatuje do jak war..... ja..... jaj.....
jat i wrzeszczy z całej siły: "P..... p..... pan jesteś
impertynent..... p..... p..... pan się prz..... prz.....
przedrzeźniasz mojej córce, która się cośkolwiek
zaj..... zaj..... jaj..... jakuje, to jest mój pa..... anie
gru..... rubiaństwem panie bdzi..... bdzieju" i tak
dalej i taak daalej ja płonę cały, nie mogłem ze
siebie wydo..... obyć słowa uspr..... pr..... uspra-
wiedliwienia, trwało godzinę zanim nareszcie star-
ry Brr..... Brrr..... Brykczyński wyjaśnił mu
wszy..... wszystko. Potem gru..... rubas wpraw-
dzie przeprosił mię, nawet zako..... kochał się we
mnie i chciał mi dać córkę za żonę a prze..... e-
prosiny, ale aż tyle nie żą..... żądałem i na znak
zgo..... ody zadekłamowałem mu pi..... pie.....
piękny wierszyk. Ten wieczorek będę wieki pa-
miętał, bo pru..... rócz tego poznałem wtedy mo-
ją zło..... łotą Gucię Bzd..... Bzd..... Bzz..... mniej-
sza z tem, ja ją i bez tego ko..... kocham. zresztą
ona to nazwisko fa..... fatalne i tak porzuci po
ślu..... lubie.

Ale gdzie ten brz..... brz..... brzydki Zdzisz z
wierszami siedzi? A ja przecie wiersz mieć mu-
szę, bo przecie przyrzekłem pannie Bzd..... Bzd.....
masz tobie znowu Bzd..... (Wpada w złość) Bzzz...

(Wychodzi powoli próbując wciąż wymówić Bz.....
itd).

Biblioteka Główna UMK



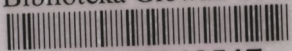
300043342517



20, —

940735

Biblioteka Główna UMK



300043342517